

Izzak Baszewis Singer

W sobotę, po „czulencie” Blimele, córka Fiszla, rabinowa Jentl i niewiasta o imieniu Genendl siadały na ławce i zaczynały opowiadać sobie zasłyszane i zapamiętane historyjki lub wydarzenia. Z całej tej trójki jedynie Blimele nosiła na głowie perukę z jedwabnych nitek. Miała na sobie starą wysłużoną suknię, jeszcze z wyprawy ślubnej. Miała krzywy, mały nosek i spiczasty podbródek. Jej oczy sprawiały wrażenie skośnych. Blimele była członkinią Bractwa Pogrzebowego „Chewra Kadisza”. Zajmowała się myciem ciał zmarłych kobiet przed złożeniem ich do grobu. Szyła też całuny zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn. Do cięcia płótna nie używała nożyc. Wystarczały jej ręce. Rozerwane płótno zszywała szerokim ścięgiem, który zyskał miano „sobotniego ścięgu”. Podczas szalejącej w mieście epidemii cholery chodziła od domu do domu i nacierała spirytusem ciała chorych. Naczelny lekarz miasta doktor Czaplicki ostrzegał ją, żeby tego nie robiła, bo może się zarazić i umrzeć, ale ona uparcie i niezmiennie odpowiadała mu: Młodszy ode mnie umarli.

I co się okazało? Nie ona, ale doktor Czaplicki umarł wkrótce.

Rabinowa Jentl miała czepek z zielonymi, żółtymi i niebieskimi wstążkami z atłasu. Była trzecią już żoną rabina. Zanim wyszła za niego, zdążyła przeżyć we wdowieństwie dziewięć lat. Jej zmarły mąż był bogatym człowiekiem, właścicielem ziemskim. Przy boku bogatego męża Jentl zdążyła wejść w posiadanie mnóstwa drogocennych klejnotów. Nakładała je zawsze w sobotę. Obwieszała się złotym, ciężkim łańcuchem, perłami, bransoletami. Kazała sobie przekłuć uszy, żeby móc nosić kolczyki. Była okrągłutka niczym beczułka. Pod oczami miała „worki”. Nosiła coś w rodzaju peleryny, która już czterdzieści lat temu wyszła z mody.

Jeśli Blimele z ochotą pracowała przy zwłokach, to Jentl okropnie bała się trupów. Nigdy nie szła w orszaku pogrzebowym. Ilekroć ktoś wspominał zmarłego, ze strachu splotowała trzy razy. Jentl była bezdzietna. Codziennie wyprawiała służącą do przytułku dla ubogich, aby zaniósł im garnki z kaszą lub rosółem.

Najstarsza z tej trójki była Genendl. Przekroczyła już osiemdziesiątkę. Jej mąż, reb Tewel, był przewodniczącym miejskiego kahału. Pochodziła z rodziny od dawna tu osiadłej. Jej dziadkowie i babki spoczywali na tutejszym cmentarzu. Była osobą niskiego wzrostu, o wąskiej, gęsto usianej zmarszczkami twarzy, ale jej oczy lśniły jak u młodej dziewczyny. Otulona była w czarną

chustę, pelerynę wyszywaną fałszywymi perełkami, fałdzistą suknię i buciki o spiczastych noskach. Na rozpostartym na kolanach szalu leżały owoce i pierniczki. Musiała co jakiś czas się nimi pokrzepiać, tak bowiem zalecił doktor Lipiński z Zamościa. Bywało też, że częstowała to owocem, to ciastkiem przechodzące dzieci.

Miejscowi szanowali ją. W testamencie zapisała kahałowi swój dom, a wykupiła sobie miejsce na cmentarzu obok grobu męża. Genendł potrafiła napisać list po hebrajsku, w czasach panieńskich uczyła się francuskiego i gry na fortepianie. Zapraszano ją na zebrania, w których uczestniczyli sami mężczyźni. Wśród kobiet to ona nadawała ton rozmowie. Oznaczało to, że ona mówiła, a pozostałe kobiety słuchały. Genendł miała niewyczerpany zasób opowieści, bajek i wszelkiego rodzaju historyjek. Przez wiele lat jeździła z mężem do ciepłych wód, do rozmaitych kąpielisk. Mąż zabierał ją także na jarmarki do Gdańska i Lipska. Jeszcze do niedawna sama prowadziła interesy. Umiiała posługiwać się liczydłem. Na nosie miała okulary w złotej oprawie, w której osadzone były połówki szkiełek. Trudno było domyślić się, do czego były jej potrzebne. Nigdy bowiem nie spoglądała przez szkiełka, tylko przez górną, otwartą część oprawy. Nawet wtedy, kiedy trzymała modlitewnik.

— Mówicie — oświadczyła Genendł — że sam człowiek jest dla siebie największym wrogiem. To prawda. Dziesięciu wrogów nie potrafi wyrządzić człowiekowi tyle krzywd i zła, ile sam sobie ich przysporzy. A najgorzej jest wtedy, kiedy człowiek zaczyna się wywyższać. Nie rozumiem dlaczego ludzie to robią. Moja matka — oby spoczywała w pokoju — mawiała: Im człowiek wybitniejszy, tym bardziej skromny. Są jednak ludzie, którym od sukcesów przewraca się w głowie. Gdy tylko zaczyna im się lepiej powodzić, stają się wyniośli i zadzierają nosa. Chcą sobie odbić dotychczasowe lata. Król Salomon powiada w swoich Przypowieściach: „Gdy niewolnik staje się królem, ziemia drży”. Opowiem wam jednak coś innego. Coś lepszego.

Działo się to dawno, nie za waszych czasów. Ile macie lat? Kiedy ty, Blimele, przybyłaś do naszego miasta, Szprynca jeszcze żyła. Zdaje się, że niedługo po twoim przybyciu, a nawet w tym samym roku zmarła.

Słyszając te słowa, Jentł trzy razy splunęła.

— Była młoda? — zapytała.

— Nie miała jeszcze czterdziestki.

— Chroń nas, Boże w niebiosach!

Blimele, córka Fiszla, parsknęła na to śmiechem i mruknęła:

— Żadne spluwanie tu nie pomoże, pani rabinowo. Kiedy Bóg wzywa, trzeba iść.

— Bóg jest miłosierny.

— Szprynca, córka Lejba Iczego, sama się zabiła. Pochodziła z niezbyt szacownej rodziny. Jej dziadek Icze był rzeźnikiem. Nie znałam go, umarł zanim ona przyszła na świat. Natomiast ojca Lejba dobrze znałam. Chłop wysokiego wzrostu, był komiwojażerem czy też dostawcą. W tamtych czasach kupcy nie jeździli po towar do Lublina. Wszystko przywoził im komiwojażer-dostawca. Lejb miał kryty wóz, tak zwaną „budę” zaprzęgniętą w dwa konie. Kilka razy w miesiącu wyjeżdżał do Lublina po towar, a drogi w tamtych czasach były złe. Gorsze niż obecnie. Do Zamościa prowadziła jeszcze dość dobra szosa, ale stamtąd jeździło się już tak zwanym polskim traktem. Latem było jeszcze jako tako, ale po święcie Sukot, kiedy deszcze zaczęły padać, i po święcie Purim, kiedy mróz puszczał, buda tonęła w błocie. Nic na to nie poradzisz, o zarobek trzeba walczyć. Lejb był zdrowym, mocno zbudowanym mężczyzną. Na wychowaniu miał dwie córeczki, Mindl i Szpryncę. Mindl była starsza. Przez lata ciężkiej harówki Lejbowi udało się zebrać na posag dla córek kilkaset złotych. Na owe czasy była to spora sumka. Jego pragnieniem było dobrze wydać córki za mąż. Mindl wyszła za mąż za syna kupca z Tomaszowa. Niedługo trwało jej szczęście. Pewnego dnia mąż wyszedł z domu i nie wrócił. Nie wiadomo, gdzie się zawieruszył. W tamtych czasach pisanie listów nie było w zwyczaju. Kto wtedy umiał pisać? Jeden na stu. Szpryncę rodzice chcieli koniecznie wydać za tutejszego Żyda, żeby mogła mieszkać z mężem przy rodzicach. Dobrze, ale znajdź tu w mieście stosownego kandydata do ręki córki. Tutejsi „lepsi” Żydzi, szacowni i nobliwi obywatele miasta, z pewnością nie mieliby ochoty skumać się z prostym komiwojażerem, jakim był Lejb. Jego żona Bine Gitl jeszcze bardziej niż mąż pragnęła wkupić się w „lepszą”, szacowniejszą rodzinę.

Szprynca wdała się w matkę. Nie wybiegajmy jednak zanadto w przyszłość. Nie należy łowić ryb przed zarzuceniem sieci. Dopóki Szprynca była młodą dziewczyną, nikt nie zdawał sobie

sprawy z tego, jaka ona jest. Kto bowiem ogląda się za jakimś podlotkiem? Brzydka nie była: jasna blondynka, czysta, gładka cera i zgrabna figura. Ale co z tego? Ojciec zaczął szukać kandydata. Szukał, aż znalazł pewnego jeszybotnika w Lublinie. Zupełnego sierotę. Na imię miał Cemach. Pochodził chyba z Łomży albo z innej miejscowości. Lejb posłał do niego swata. Ten z nim pogadał i młodzieniec wyraził zgodę. Lejb obiecał dać solidny posag i utrzymanie przez kilka lat. Czego więcej potrzeba młodemu człowiekowi? Lejb zaś chwalił się, że Cemach to prawdziwy geniusz, czystej wody brylant. W tamtych czasach nie brakowało geniuszy. Swaci o każdym młodzieńcu, którego raili, mówili, że jest geniuszem, wybitnym uczonym w Piśmie. Lejb sprowadził go do naszego miasta. Zobaczyłem go, gdy szedł do bóżnicy, trzymając w ręku woreczek z tefilin. Był niski, miał ciemne włosy i długie, równo ułożone pejsy. Lejb długo nie zwlekał. Bez zbędnych ceregieli, w szybkim tempie odbyły się zaręczyny, po nich ustawiono baldachim ślubny i Lejb wyprawił wesele. Nie omieszkał przy tym zaprosić na nie wszystkich mieszkańców miasta, ale pojawili się tylko co prostsi i niezamożni. Następnego dnia po weselu rozeszła się po mieście wieść, że Cemach na weselnej uczcie wygłosił bardzo mądre przemówienie, które świadczyło o jego głębokiej znajomości Pisma.

W owych czasach, z braku dostatecznej ilości miejsca w bejt haMidraszu, studia odbywały się także w innych wolnych pomieszczeniach miasta. Nawet w przedsionku bejt haMidraszu ustawiono pulpity do nauki. W nocy, która składała się zgodnie ze Świątynną tradycją z trzech części zwanych „Asz- morot”, odbywały się zajęcia na trzy zmiany. Każda część nocy przeznaczona była dla innej grupy.

Studiujący przynosili świece. O nafcie w tamtych czasach nikt nawet pojęcia nic miał. Słowem, Lejbowi się poszczęściło. Znalazł zięcia na schwał. Istną „mecyję”. Rarytas co się zowie. A w czyje ręce — pytam — miała wpaść taka mecyja, jak nie w ręce naszego komiwojażera?

Ale „mecyja” „mecyi” nierówna. Powoli ludzie zaczęli się bacznie przyglądać „mecyi” Lejba. Obserwowali go i poznawali coraz lepiej. Ci, którzy razem z nim studiowali Pismo, twierdzili, że Cemach w istocie jest geniuszem. W jednym palcu macał Torę. Mój ojciec, oby spoczywał w pokoju, nie należał do tych, co szybko wpadają w zachwyt nad byle utalentowanym jeszybotnikiem, ale po powrocie z bejt haMidraszu oświadczył, że Cemach rzeczywiście jest wybitny. Oto co powiedział: W Wielką Sobotę rabin wygłosił kazanie, po którym słuchacze zasypali go gradem pytań. Rabin zaś odpowiedział głównie na pytania zadane mu przez Cemacha. W całej dyskusji zięć Lejba grał pierwsze skrzypce. Okazało się także, że Cemach potrafi pisać. I to w kilku językach: po polsku, po rosyjsku i, rzecz oczywista, po hebrajsku. Kto w tamtych czasach znał języki? Rzecz nie do pomyślenia, żeby biedny młodzieniec znał obcy język.

Jak to wytłumaczyć? Albo był pilnym samoukiem, albo wiedza jakimś cudem sama weszła mu do głowy.

Na jednej z lekcji prowadzonej przez rabina młodzi uczniowie mieli dokonać jakichś obliczeń, w których występowały ułamki. Nikt z uczniów nie znał się na ułamkach. Wtedy Cemach wyciągnął z kieszeni ołówek i dokładnie wszystko porachował. Nie tylko miał ogromną wiedzę, ale też był niesłychanie mądry. Kiedyś ojciec mój zaprosił go do naszego domu. Usiedli przy stole, zaś my, kobiety, usiadłyśmy w pewnej odległości od stołu i przysłuchiwałyśmy się ich rozmowie. Z ust Cemacha padały bardzo mądre słowa. Można powiedzieć, sypały się prawdziwe perły. Nic, tylko całować i pieścić każde wypowiedziane przez niego słowo. Jeśli chodzi o zdolności, to miejsce urodzenia nie ma żadnego znaczenia. Byłam wtedy jeszcze panną na wydaniu. Pewnego dnia ojciec powiedział do mnie: „Szkoda, że to ja go nie wziąłem na zięcia”. Całe miasto mówiło o Cemachu, o tym, co Cemach powiedział przy tej czy tamtej okazji. Zazwyczaj bywa tak, że człowiek, którym wszyscy zaczynają się zachwycać, popada w pychę i zadziera nosa. Ale nie Cemach. On zachowywał się skromnie. Powiedziałabym, że nawet z pewną pokorą. Z szacunkiem zwracał się do każdego. Miejscowi młodzieńcy starali się go wciągnąć do swego kręgu obgadywaczy i plotkarzy, ale Cemach się nie dał. Nigdy o nikim złego słowa nie powiedział. Dużo czasu spędzał na nauce w bejt haMidraszu. Po nauce wracał zaraz do domu. Nie mieliśmy w mieście człowieka, który by potrafił pisać po polsku i rosyjsku. Wkrótce Cemach stał się kimś w rodzaju pokątnego adwokata. Ludzie zaczęli do niego przychodzić po porady prawne. Gdy jakiś Żyd miał coś do załatwienia w magistracie lub sądzie, Cemach występował jako tłumacz.

W naszej okolicy było sporo magnatów, właścicieli ziemskich. I oto zdarzyło się, że dworski Żyd, Ajzele, właśnie zmarł. Żeby przestąpić próg dworu, trzeba było znać język polski. Trzeba było umieć rozmawiać z panem dziedzicem. Co wam będę tłumaczyła? Dworskim Żydem został Cemach. Dziedzic kiedyś usłyszał, jak Cemach rozmawiał z rejentem. Od razu przypadł mu do gustu. Posłał po niego umyślnego i kiedy ten zjawił się we dworze, z miejsca spodobał się dziedzicowi. Ów dziedzic, pan Wróblewski, stale potrzebował gotówki i zabiegał o pożyczkę. Z Żydami lubił wdawać się w dyskusje. Jego żona, pani dziedziczka, ilekroć miała jakieś kłopoty, posyłała do bóżnicy świece i prosiła Żydów, żeby się za nią pomodlili. Krótko mówiąc, Cemach i dziedzic Wróblewski, mimo dzielących ich różnic, stali się niemal przyjaciółmi, byli z sobą za pan brat. Aż nazbyt często posyłano z dworu po Cemacha specjalnego gońca, a kiedy dziedzic zajeżdżał do miasta, jego bryczka zawsze zatrzymywała się przed domem Iczego, teścia Cemacha. Ten nadal zgodnie ze ślubną intercyzą był na wikcie teścia, chociaż zarabiał już znacznie więcej od niego. Nie było zwyczaju, żeby młodego człowieka obdarzyć zaszczytem odczytania szóstego, najbardziej honorowego fragmentu Tory podczas nabożeństwa sobotniego w bejt haMidraszu. Dla Cemacha zrobiono jednak wyjątek. Przyznano mu też honorowe miejsce przy wschodniej ścianie bejt haMidraszu.

Miejsce zarezerwowane dla najbardziej szacownych i najbogatszych Żydów. Kantor czekał na Cemacha, zanim przy stępił do odmawiania Osiemnastu Błogosławieństw. Sam rabin oświadczył, że Cemach posiada większą od niego wiedzę. Cemach jednak był taki skromny, że na widok rabina wchodzącego do bóżnicy podrywał się z miejsca. Okazywał w ten sposób szacunek dla duchowego przywódcy gminy. Odwiedzał też w każdą sobotę dom rabina, żeby razem z nim spożyć nakazane przez Torę trzy uświęcone posiłki. Pewnego dnia ktoś głośno powiedział, że Cemach niezawodnie obejmie stanowisko rabina po jego śmierci. Rzecz oczywista, że życzy rabinowi długiego życia. Słyszając to, Cemach zareagował żywo i stanowczo.

— W żadnym wypadku — krzyknął. — Nawet po tysiącu latach. Rabin ma syna, wspaniałego chłopca. On powinien objąć to stanowisko. Ta wypowiedź zjednała Cemachowi uznanie mieszkańców miasta. Znalazło się jednak kilka osób, którym Cemach był nie w smak i były do niego wrogo usposobione.

I co z tego? Cemach miał za żonę Szpryncę. Ta wnet się zorientowała, że trafiła na prawdziwy skarb, ale pozostać w cieniu tego skarbu nie chciała, wręcz przeciwnie. Ze sławy, jaką cieszył się jej uczony mąż, zamierzała czerpać korzyści i zaszczyty. Przyjaźniła się z kilkoma koleżankami z ulicy Mostowej, ale odkąd została żoną Cemacha, postanowiła zerwać z nimi, gdyż przestały jej odpowiadać, były bowiem córkami zwykłych szewców lub bednarzy. Szprynca najęła służącą i zaczęła nią komenderować. Na babińcu bóżnicy zażądała miejsca w pierwszym rzędzie, przy samej kracie. Daj babie palec, a sięgnie po całą rękę. Szprynca z każdym dniem rosła we własnych oczach. Wyglądało na to, że właściwie gra pierwsze skrzypce, a Cemach drugie. Gdziekolwiek się zjawiała, chciała wodzić rej — czy to w sklepie, czy u rzeźnika, czy nawet w mykwie. Jej rodzicom się to nie podobało. Zwrócili jej uwagę i nawet ją zganili, ale ona przestała się już z nimi liczyć. W małym mieście każdy wie, co u innych w garnku się gotuje. Tak więc ludzie się dowiedzieli, że Szprynca nęka Cemacha wyrzutami, iż zbyt nisko się ceni. Z byle prostakiem czy pętakiem wdaje się w rozmowę. Dom rodziców nagle stał się dla niej za ciasny. Zachciało jej się zamieszkać w kamienicy w centrum miasta, przy samym rynku. Zaczęła zamawiać suknie u najlepszego krawca Isara. Jak skomentowali to nasi ludzie? Babsko chciało lepiej wyglądać w oczach dziedziców, ci zaś nie mieli wcale ochoty gościć u siebie Żydówki, nawet elegancko ubranej i obwieszonej brylantami. Żyd, w ich mniemaniu, powinien znać swoje miejsce. Rzecz jasna, że niższe.

Dopóki żyli rodzice, Szprynca starała się ze względu na nich pohamować swoje zapędy, ale po ich śmierci (oboje zmarli w tym samym roku) poczuła się panią. Odkupiła od wdowy po reb Aszerze Kandlu murowany dom z balkonem. Meble sprowadziła z Lublina, a nawet z samej Warszawy. Salon ozdobiła dywanami, wyściełanymi krzesłami i pianinem. Do czego potrzebne jej było pianino? Przecież nie umiała na nim grać. Mimo to codziennie zasiadała przy nim i bębniła w klawisze. Miała już nie tylko sprzątaczkę, ale i kucharkę. Ale zaraz, zaraz! Byłabym zapomniała. Szprynca była bezdzietna. Nic innego, tylko Bóg ją pokarał, bo z natury była

przecież zdrowa jak rzepa. Ludzie w mieście byli świadomi, że zachowanie Szprynca nie odpowiada Cemachowi. Zwłaszcza raziła go wyższość, jaką okazywała ludziom. Sprzeciw budziło w nim to, że demonstruje swe bogactwo. Cemach bardzo to przeżywał. Może bał się złego uroku. Dlatego też odczuwał potrzebę usprawiedliwiania się przed każdym znajomym. W małym mieście ludzie nie lubią zamykać się w swoich mieszkaniach, drzwi mają zawsze otwarte. Po co tracić czas na pukanie? Szprynca natomiast zamykała drzwi na siedem spustów. Zabezpieczyła je również od wewnątrz łańcuchem. Dlatego też każdy odwiedzający ją człowiek musiał swoje odstać przed drzwiami i dobrze wytrzeć buty na słomiance. Musiało być u niej tak jak w wielkim mieście Lublinie.

Moje kochane, nasze miasteczko to jednak nie Lublin. Ludzie wzięli ją na języki. Gdyby Szprynca pochodziła z zamożnej, nobliwej rodziny, wybaczone by jej, skoro jednak była córką zwykłego komiwojażera, to nie mogła przecież rządzić i dyrygować. Nie zostawiono na niej suchej nitki, wyśmiewano ją na każdym kroku. Dziedzic nie chciał jej zapraszać, mile widziany we dworze był tylko Cemach. Posyłali po niego karetkę. Szprynca chciała towarzyszyć mężowi, ale panowie jednoznacznie dawali jej do zrozumienia, żeby lepiej pilnowała swego domu. Ze wszystkimi była w konflikcie. Pokłóciła się ze wszystkimi niemal mieszkańcami miasta. Do tych kłótni starała się na siłę wciągnąć męża. Ten grzecznie jej odmawiał i usiłował przemówić do rozumu. — Czego ode mnie chcesz? — pytał. — Jestem tu obcym człowiekiem. Dzięki Bogu, poszczęściło mi się, ale mocnych, niezwykłych ludzi nie ma. Ja jestem jeden, a jeden znaczy tyle, co żaden. Na to ona oświadczyła:

— Tak, ale ty jesteś im wszystkim potrzebny. Bez ciebie się nie obejda. — Z całym szacunkiem dla ciebie — odparł Cemach — ale nie ma ludzi niezastąpionych. Oto umiera król. Umiera potężny władca i co? Na opuszczonym tronie zasiada nowy król.

Zaostrzyły się właśnie między małżonkami. To znaczy Szprynca nie przestawała nękać męża, a Cemach milczał. Taki już był z natury. U niego słowo było na wagę złota. Zresztą, co można powiedzieć upartej oślicy? Nagle przestało jej się podobać imię Szprynca. Kazała zwracać się do siebie per „pani Zylberman”. Takie nazwisko nosił Cemach. Kto jednak dzisiaj zwraca się do człowieka nie po imieniu, a po nazwisku? Starła się zaprzyjaźnić z aptekarzą, z panią doktorową oraz innymi paniami z tak zwanego towarzystwa, ale te nie chciały przyjąć jej do swego grona. Nie była im potrzebna. Szprynca zaczęła wtedy zapraszać je do siebie, ale one pod byle pretekstem wykręcały się od tych zaproszeń. Z poradnika pisania listów zaczerpnęła parę wyszukanych zwrotów i zaczęła ich używać na co dzień. Miejskowa młodzież, skora do swawoli, bawiła się jej kosztem. Szprynca zaś brnęła dalej i udawała wielką panią. Wynajęła nauczyciela do nauki języka polskiego i rosyjskiego, ale nic z tego nie wyszło. Sądzę, że jej nauczyciel też niewiele umiał. Cemach nieraz przyłapywał go na błędach.

Wkrótce ludzie zaczęli po cichu mówić o bliskim rozwodzie tej pary. Cemach jednak nie należał do mężów, którzy od razu pędzą do rabina po rozwód. Cierpiał w milczeniu. Jak wam to jaśniej wytłumaczyć? Balon musi pęknąć. Jeśli człowiek chce się sam zabić, nie należy mu w tym przeszkadzać. Ale dlaczego człowiek miałby się sam zabić?

Kiedy Szprynca spostrzegła, że miasto nie pada przed nią na kolana, wpadła w dziki szał. Twarz jej się wykrzywiła ze złości; wyglądała jak czarownica, istna Baba Jaga. Zaczęła wszystkim dokuczać. Przede wszystkim robiła na złość Cema- chowi, i to w perfidny sposób: rano pytała go, co by zjadł na kolację. Gdy ten zapragnął kaszy, Szprynca kazała służącej ugotować mu na kolację barszczu. I na odwrót. Prosi o barszcz, dostaje kaszę. Wszystkim dookoła robiła na złość, na przekór — mężowi, znajomym, każdemu. Kiedy kobiety z Hachnasat Kala (Towarzystwa Opieki nad Pannami bez Posagu) przychodziły do niej po wsparcie, kazała służącej zamknąć drzwi i nie wpuszczać ich do mieszkania. Jeszcze nie była stara, nie przekwitła, ale przestała chodzić do tnykwy. Początkowo podejrzewano, że jest w ciąży, ale gdzie tam. Przestała chodzić do mykwy na złość Cemachowi. Mężowi potrzebna jest żona, ale kiedy ta nie chodzi do mykwy, wedle prawa staje się nieczysta. Do takiej zaś mężowi nie wolno się zbliżyć. — Co się stało? — zadawali sobie ludzie pytanie. Wszystko wyszło na jaw dopiero po jakimś czasie. Okazało się, że w Szpryncę wstąpił diabeł. Licho ją opętało. Zaczęła jeszcze bardziej obrzydzać życie Cemachowi. Do podanych potraw dosypywała tyle soli, że ten nie mógł ich tknąć. Akta, które przygotowywał do gubernialnego urzędu, rozrzucała gdzie się tylko dało. Kiedy żona staje się wrogiem męża, potrafi zaprowadzić go nawet na szubienicę.

Chociaż Cemach zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z diabolicą, to jednak ciągle starał się jakoś po dobroci dojść z nią do porozumienia. Bez ustanku perswadował jej: Dlaczego tak postępujesz? Zrozum, że szkodząc mnie, szkodzisz sobie. Doprowadzisz nas do skrajnej nędzy. Ale gadaj do ściany. On swoje, a ona swoje. Kpiła z niego w żywe oczy, przedrzeźniała i robiła mu na złość. Wymyślała coraz to nowe oszczerstwa. Dlaczego tak postępowała?

I oto w święto Simchat Tora wylazło, jak to się mówi, szydło z worka. Cemach został Chatan Tora (oblubieńcem Tory) — miał odczytać ostatni, zaszczytny fragment Tory. Z tym zaszczytem związany jest obowiązek zaproszenia na kidusz obecnych w synagodze. Na kilka dni przed świętem Cemach powiadomił Szpryncę o tym i poprosił, by przygotowała należyty poczęstunek dla zaproszonych gości. W owych czasach Żydzi znacznie bardziej radowali się Torą. W dzień Szmini Aceret, po nabożeństwie popołudniowym, zaczynali tańczyć, a kończyli dopiero nad ranem, po ostatnim dniu święta. Raczyli się wódką prosto z beczki. Przed wprowadzeniem monopolu okowita była bardzo tania, zaś dawniej mężczyźni potrafili tego pić. Nawet biedni Żydzi starali się, żeby tego dnia mieć pieczoną gęs i garnek kapusty z mięsem. U bogaczy na stole stawiano ponadto strudle, torty i ciastka z migdałami. Czego jeszcze tam nie było? A wszystko to kosztowało grosze. Po nabożeństwie Cemach zaprosił wszystkich obecnych w synagodze do domu na kidusz. Pół miasta powędrowało do mieszkania Cemacha. I oto okazało

się, że drzwi do mieszkania są zamknięte. Cemach zaczął w nie pukać, stukać, bębnić. Na próżno. Nikt się nie odezwał. Po dłuższym czasie służąca Szpryncy otworzyła drzwi. Cemach zapytał ją, gdzie jest gospodyni. A służąca na to, że pani śpi.

Cóż wam, moje drogie, mogę jeszcze powiedzieć? Szprynca nic do kiduszu nie przygotowała. Nawet zabrakło kieliszka wina. Twarz Cemacha poczerwieniała ze wstydu. Jakby go ktoś uderzył. Sporo lat minęło od tego wydarzenia, ale kiedy wspominam je, łzy mam w oczach. Ci, którzy byli świadkami tego skandalu, opowiadali, że Cemach wyglądał jak trup. Ludzie mieli już troszeczkę w czubie, bo w przerwie między modlitwą poranną szachnt a musafem, a zwłaszcza po hakafot, tyknęli wina. Teraz poczuli głód. Kilka osób weszło do kuchni, otworzyło kredens, ale niczego do jedzenia nie znaleźli. Raptem wynurzyła się ze swego pokoju Szprynca w szlafroku i w kapciach. I zaczęła kłać na czym świat stoi. Wszystkich zmieszała z błotem. Wrzeszczała: Ach, wy pętaki, gołodupcy! Co sobie myślicie? Że jesteście u siebie w domu, z waszymi zafajdanymi żonami? Wynocha stąd! Jeszcze zapaskudzicie mi mieszkanie! Tu Cemach już nie wytrzymał. Ryknął jak nigdy przedtem: Szprynco, co się z tobą dzieje? Czym zasłużyłem na taki wstyd? Z ust Szpryncy wydobył się wrzaskliwy kwik: Ty obrzydły jeszybotniku! Ty litwacka Świnio! Reszta jej słów wyleciała mi już z pamięci, ale pozostało mi do dzisiaj jedno wrażenie — że Szprynca klęła niczym przekupka z jarmarku. Goście szybko się wynieśli. Biegli, uciekali jak przed pożarem. Dwaj rośli, silni młodzieńcy wynieśli Cemacha z domu. Ten zawołał: Dokąd mnie niesiecie? — Na kidusz do innego bogacza — odpowiedzieli. Okazało się, że prawo do odczytania pierwszego fragmentu Tory wykupił sobie inny bogacz, reb Lejzor Mordechaj Bert — został on Chcitan Beresz.it. Żona Lejzora przygotowała dla gości wspaniałe, iście królewskie przyjęcie. Gospodarz nie pożalował Cemachowi wina. Zazwyczaj Cemach zadowalał się jednym małym kieliszkiem, ale tym razem zdrowo sobie popił. Chciał w winie utopić zmartwienia. W pewnej chwili zwrócił się do Lejzora z pytaniem, czy ma w domu Pięcioksiąg.

— Do czego ci potrzebny w takiej chwili Pięcioksiąg? — zapytał zdumiony Lejzor.

— Muszę coś w nim znaleźć — odparł Cemach.

I kiedy Lejzor podał mu księgę, Cemach głośno zawołał:

— Żydzi, przysięgam na tę świętą księgę, że rozwiódę się z moją sekutnicą. W mieszkaniu Lejzora znajdowały się wówczas także kobiety — w Simchat Tora wolno kobietom przebywać w jednym pomieszczeniu z mężczyznami. Okrzykowi Cemacha odpowiedział płacz, jakby to był

Jom Kipur.

Zresztą, co ja wam dalej będę prawila? Cemach wręczył żonie, takjak prawo nakazuje, list rozwodowy, czyli get. W tamtych latach można było łatwo rozwieść się z żoną. Cemach zrezygnował z przysługujących mu praw. Wszystko, co posiadał, zostawił Szpryncy: dom, meble i pozostałe rzeczy. Wyszedł z domu tak, jak stał, w jednym ubraniu. Chciał opuścić miasto, ale dziedzic mu nie pozwolił. Oddał mu warendę swoje dobra. Na Cemacha spadł wtedy grad małżeńskich propozycji. Był jeszcze młody, a ponadto Szprynca nie urodziła mu dziecka. Raili mu nawet córkę rabina, ale on nie chciał już więcej wiązać się węzłem małżeńskim. Raz się sparzył i dosyć. Zamieszkał na folwarku. Do prac domowych wynajął starą Żydówkę, która mu gotowała. Niestety nie pożył długo. Pewnego upalnego dnia wszedł do rzeki, żeby się wykapać i ochłodzić. Zanurzył się w wodzie i nie wypłynął już na powierzchnię. Utopił się. Długo szukali jego ciała. Ubranie leżało na brzegu rzeki. Właściwie niewielkiej rzeczki. Testamentu nie zostawił. Wszystko, co posiadał na folwarku, przejął dziedzic.

Po śmierci Cemacha Szprynca zabrała się do robienia porządków. Zdjęła perukę, ubrała się w miarę godziwie i wystawiła dom na sprzedaż. Zapragnęła przenieść się do Lublina albo nawet do innego miasta. Jej starania spelzły na niczym. Ludzie w mieście uznali, że spadła na nią kara boska. Zaczęła cierpieć na bezsenność i chociaż miała do dyspozycji kilka służących, zrywała się z łóżka i sama parzyła sobie herbatę. Nalewała wodę do garnka, stawiała na płycie kuchennej i rozpałała pod nią ogień. Pewnego dnia kawałek rozżarzonego węgla spadł na podłogę i wybuchł pożar. W mig płomienie ogarnęły cały dom. Palił się jak suche szczapy. Służące ledwo uszły z życiem. Sypialnia Szpryncy była na piętrze. Gdy zbiegała ze schodów, upadła i złamała obie nogi. Nawet ślepiec dostrzegłby w tym fakcie karzącą rękę niebios. Dom płonął jak pochodnia. Na dodatek wiał silny wiatr — Szprynca niechybnie spaliłaby się, gdyby ktoś w ostatniej chwili nic wyniósł jej na dwór. I wtedy powstał problem: Dokąd ją zanieść? Kto zgodzi się przyjąć pod swój dach taką megierę? Zaniesiono ją do przytułku. Tak to bywa z człowiekiem. Raz na wozie, raz pod wozem. W wyniku pożaru Szprynca straciła cały majątek, została w jednej koszuli.

Dzisiaj każdy może mieć ognioodporny sejf. Dawniej ich nie było. Dzisiaj człowieka, który złamał nogę, zawożą do szpitala w Lublinie czy Zamościu. Na złamaną nogę nakłada się gips, ale w tamtych czasach zawiązywano nogę sznurkiem; kości się więc nie zrastały. Szprynca została kaleką. Kto jej nie widział leżącej na słomie w przytułku, ten nie potrafił sobie wyobrazić, czym jest kara boska. Zanosila jej nieraz garnek z ugotowaną kaszą. Mimo to do końca była wyniosła. Leżała wśród nędzarzy, ale była w jedwabnej, choć podartej koszuli. Z nikim nie chciała rozmawiać. Kiedy ktoś przynosił jej w podarunku coś do jedzenia lub ubranie, nie była w stanie zdobyć się na podziękowanie. Nie raczyła nawet głową kiwnąć na znak wdzięczności. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w sufit. Może zwariowała? Nędzarze dzielący z nią przytułek nazywali ją hrabiną. Opowiadano mi, że czasami słysząc było, jak nuci jakąś piosenkę

po niemiecku. We śnie mówiła o Cemachu. Kiedyś była ładną kobietą. Teraz, o zgrozo, wyrosła jej broda. Na głowie pojawił się kołtun. To już nie była dawna Szprynca, lecz istny potwór. W takim stanie przeżyła jeszcze kilka lat. Pewnego zimowego dnia umarła. Byłam na jej pogrzebie. Oprócz mnie prawie nikogo nie było. Pochowano ją obok rodziców. Nikt nie postawił macewy na jej grobie.

I — powiedzcie mi — po co jej to wszystko było? Przy Cemachu niczego jej nie brakowało. Największym wrogiem człowieka jest on sam.

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili odezwała się Blimele, córka Fiszla: — Umyłam kiedyś ciała trzech topielic. Były to samobójczynie. Jedna powiesiła sobie kamień na szyi i rzuciła się do wody. Po sznurze został jej siny znak. W naszej rzeczce niełatwo się utopić. W najgłębszym miejscu woda sięga do bioder. Może przy posesji jest trochę głębiej.

— Chyba nie.

— Cemach sam się nie utopił — odezwała się Genendł.

— On był zbyt przyzwoitym człowiekiem, żeby to uczynić.

— Tamte kobiety, które popełniły samobójstwo, też były porządne.

— Dlaczego Cemach miałby to zrobić? — zapytała Genendł. — Za takim koszmarnym babskiem jak Szprynca nie można przecież tęsknić.

— Nie ma takiego babska, za którym nie można by było tęsknić. Opowiedziałabym wam jeszcze ciekawszą historyjkę, ale ona nie pasuje do soboty.

Na chodniku

Wpisany przez Cwi Abramowicz, Antwerpia
Wtorek, 09 Czerwiec 2020 00:00 -

Rabinowa Jentl zaczęła kręcić głową z żalu i zmartwienia, które jest tak odwieczna, jak gatunek człowieczy zwany kobietą. Razem z głową kołysał się jej ozdobiony wstążkami czepek. Worki pod wypłakanymi oczami posiniały i spęczniały. Przyłożyła palec do warg, a potem splunęła po trzykroć.

Cwi Abramowicz, Antwerpia